

# DOM POLSKI

PISMO BELETRYSTYCZNE I NAUKOWE

wychodzi w Poznaniu 1, 10 i 20 każdego miesiąca.

Rok II.

— 102 Poznań, 20 maja 1889 r. 501 —

Nr. 15.

Prenumerata roczna wynosi 8 m., półroczna 4 m., ćwierćroczna 2 m. tak dla miejscowych, jak zamiejscowych przedpłacicieli krajowych; dla Galicyi 5 złr. rocznie, 1 złr. 25 cent. ćwierćrocznie z przesłaniem exemplarza na miejsce. — Miejscowi przedpłaciele, odbierający „Dom polski“ w redakcyi, placą tylko 1,50 mrk. — Zapisywać można na wszystkich pocztach krajowych, a w Poznaniu w redakcyi, ulica Wiedeńska, nr. 5, II. piętro. — Przedpłatę ćwierćroczną przyjmuje każda poczta; półroczną, lub roczną tylko redakcyja. — Inzeraty przyjmują się za opłatą 20 fen. od wiersza jednolamowego. — Pojedynczy numer „Domu pol.“ kosztuje 40 f.

Drukowanych rękopisów nie zwraca redakcyja.

Św. p.

## Marya Julia Zaleska.

Literatura nasza, mianowicie pedagogiczna, wielką poniosła stratę przez śmierć utalentowanej i wysoko na tem polu zasłużonej autorki. Luka ta na razie nie da się wypełnić.

Marya Julia Zaleska urodziła się d. 22 maja, r. 1831 w Medwedówce pod Czechrynem, w gubernii kijowskiej. Ojciec jej, Stanisław Perłowski, był nauczycielem w Krzemieńcu, matka, Teofila z Glińskich, w młodości również jako nauczycielka na pedagogicznem pracowała polu. Małżeństwo to, zdobywszy sobie usilną pracą obok chlubnej opinii środki do zapewnienia niezależnego i wygodnego bytu, przenieśli się na Podole, gdzie Perłowski oddał się skrzętnej pracy rolniczej, która go postawiła w rzędzie zamożniejszych ziemian powiatu jampolskiego. Czterej synowie pp. Perłowskich nader starannie odebrali wykształcenie, lecz córka ich jedynie własnej pracy zawdzięczała te skarby wiedzy, którei później tak hojnie dzieliła się z młodzieżą. Młodość św. p. M. Julii Z. przypadła na czasy, w których sądzono, iż wykształcenie kobiety ograniczyć się powinno na znajomości kilku języków, tańca i muzyki. Język francuzki główną odgrywał rolę w ówczesnem wychowaniu kobiet, miał nawet przewagę nad językiem ojczystym, i tak św. p. Marya Zaleska, mając lat przeszło trzydzieści, była zmuszona studyować gramatykę polską, której niezajomość stawała jej na przeszkodzie przy pisaniu pierwszych prac literackich. Język niemiecki przyswoiła sobie od nauczyciela muzyki, Niemca rodem, który dwa razy tygodniowo z sąsiedniego przybywał miasteczka.

Główną i jedyną skarbnicą wiedzy dla niej była biblioteka pani Róży Sobańskiej, zamieszkałej podówczas w Warszawie; ojciec Maryi był zarządczą dóbr tejsze pani, a matka oddała jej chętnie klucze do szaf, mieszczących bibliotekę, a zapełnionych po większej części książkami w francuzkim i niemieckim języku, przeznaczonemi dla młodzieży. Z tego czytania wielki odniosła pożytek. Szczególne zamiłowanie do nauk ścisłych ciągnęło ją do matematyki, fizyki i chemii. Z pierwszej przyswoiła sobie algebrę jedynie przy pomocy książek ojcowskich, brak zaś podręczników pomocniczych do dwóch drugich nauk stał się powodem umysłowej męczarni dla spragnionej wiedzy

dziewczyny. W ósmym roku życia, dostawszy po raz pierwszy do rąk poezye Mickiewicza, siłą, prostotą i wzorem słów wieszcza tak się przejęła, iż nie znając nietylko zasad rymotworstwa, lecz nawet gramatyki polskiej, ukradkiem wiersze tworzyć poczęła.

Zaślubiona 1855 roku Sewerynowi Zaleskiemu, lekarzowi dominialnemu w dobrach Bolesława hr. Potockiego, przepędziła z nim lat kilka w Niemirowie, następnie w Kamieńcu; w 12 lat później dopiero, gdy tenże uzyskał posadę naczelnego lekarza przy szpitalu św. Ducha w Warszawie, zamieszkawszy w stolicy, uzyskała obszernie pole dla działalności swej literackiej.

Jako autorka, wystąpiła Zaleska pierwszy raz w „Kronice rodzinnej“, której pozostała wierną przez lat kilkanaście współpracowniczką, zamieszczając w każdym prawie jej numerze artykuły treści przyrodniczej, lub moralnej.

W roku 1880-tym stanąwszy na czele redagowanych przez siebie „Wieczorów rodzinnych“, tak umiejętnie piśmem tem kierowała, iż nietylko młodszy, lecz nawet starsze osoby z przyjemnością największą czytały jej artykuły popularno-naukowe. Jak niestrudzoną była praca jej, najlepszym świadectwem jest, iż nawet pośmiertny numer pisma nosi na sobie ślady jej ręki, a wtajemniczeni w robotę redaktorską ludzie utrzymują, iż chyba dziesięciu współpracowników jedną Zaleską zastąpić zdoła. Prócz tego pisywała do czasopisma: „Przyroda i przemysł“, zastąpionego dzisiaj „Wszehświatem“, i do „Kłosów“, w których nader zajmujący dział przyrodniczy utrzymywała. Firma Gebethnera i Wolffa, jako wydawczyni całego szeregu prac osobnych Zaleskiej, słusznie tem chlubić się może.

Przekłady jej i przeróbki z obcych języków odznaczały się szczególniej umiejętnym doбором przedmiotu. Na uwagę zasługują tłumaczenia angielskich powieści z opisem podróży, Meinc-Reida i Coopera, łączące w sobie obok zalet pióra oryginalność pomysłów i ten urok, który nie dozwala, aby powieści tego rodzaju kiedykolwiek przeżyć się mogły.

Szereg prac oryginalnych Zaleskiej jest bardzo długi. Wymieniamy najpierw najwyższej przez nią samę cennie, a dające samemi tytułami świadectwo o niezmor-

dowanej pracy i głębokiej nauce autorki. Do tych zaliczyć można w 3 dotąd wydaniach wyszłe: „Wieczory czwartkowe“, dalej „Wędrowniki po niebie i ziemi“, stanowiące popularny zarys astronomii; „Obraz świata roślinnego“, uwzględniający przede wszystkim botanikę krajową; „Przygody młodego podróżnika w Tatrach“, nader malownicza geologia ziem pobliskich; „Listki i ziarna“, zbiór popularnych wiadomości przyrodniczych, z całego obszaru wiedzy ludzkiej czerpany; „Świątek Zosi“, „Gwiazdka“, „Snopek“, zawierające zbiory powiastek dla młodszej dziatwy. Do niewymienionych przez autorkę, a dobrych jej prac zaliczyć można: „Niezgodnych królewiczów“, „Naukę o rzeczach“, „Przewodnik wychowania“, „Świat zwierzęcy w obrazkach“, „Pogadanki naukowe“, „Iskierki“ i „Przygody dla małych podróżników.“ Ostatnie dwie powiastki dla małej dziatwy napisanemi zostały w rodzaju powieści Verne'a, lecz bez przesady cechującej tegoż autora, a tem samem przystępnej dla młodzieńczego umysłu. Utwory te nie wyszły jednakże dotychczas z teki wydawcy.

Na osobną uwagę zasługuje powieść Zaleskiej, wyszła przed rokiem nakładem Gebethnera i Wolffa, p. t. „Dwie siostry“, przeznaczona dla starszej już, żeńskiej młodzieży. Autorka stara się w tej powieści rozwiązać kwestyą koniecznej i zwiększającej się coraz więcej pracy kobiecej. W powieści tej, której rozbiór szczegółowy przed kilku miesiącami podał „Bluszcz“, stara się autorka udowodnić, iż kobieta, wychowana i wzrosła na wsi, najskuteczniej na tymże gruncie może sobie zapewnić, w razie pozostania samotną, powszedni chleba kawałek, a tem samem uniknąć całego szeregu gorzkich rozczarowań, których przy nieznajomości życia miejskiego zaznaćby mogła, lub nawet musiała. Dziwnie ujmująco kreśli Zaleska w powieści swej postać starej panny, która, nie chcąc się dobrowolnie wydziedziczać z tego, co siłą długoletniego nawyknięcia jej dotychczasowe szczęście stanowiło, pozostaje na wsi, aby pracą w pewnych gałęziach kobiecego gospodarstwa nie tylko byt sobie zapewnić, lecz stać się przykładem dla innych kobiet, które w jej ślady drogą życia puścić się pragną, i tem samem oszczędzić sobie najprzykrzejszych upokorzeń i nędzy, które po części spotykają kobiety o własnych siłach iść niezdolną.

Cała prasa nasza przyznała wielką wartość pracy tej, do której za godło wzięła autorka wiersz Żmichowski:

Ja wiem, że tutaj z litości Pana  
Na każdą troskę pociecha dana:  
Spokojna godność, wytrwałość z pracą  
Ubóstwo znoszą, lub też bogacą...

Przyczyną, dla której św. p. Marya J. Zaleska najczęściej i najchętniej pracowała na polu pedagogicznem, czerpiąc głównie temata z nauk przyrodniczych i historycznych opowiadań, było wielkie zamiłowanie do domowego ogniska, miłość do dzieci własnych, którym najlepszą była mistrzynią, wreszcie to szlachetne przeświadczenie o ważności wpływu, jaki umiejętny dobór przedmiotów do czytania wywiera na młodzieńcze umysły.

Wszystkie prace jej odznaczały się niezrównaną jasnością wykładu, co przy treści naukowej nader jest ważnem i niezbędnem, aby uwagę dziecka zająć i niejako do przedmiotu przykutą zatrzymać. Od czasu śmierci z Tańskich Hoffinanowej nikt tak godnie z zadania tego wywiązać się nie umiał.

Kobieta wyższego, nieskazitelnego charakteru, najmilszego usposobienia w towarzyskich i przyjacielskich stosunkach, św. p. M. J. Zaleska kochana i szanowana była przez wszystkich. W z o r o w a ż o n a i m a t k a, wielbiona przez męża i dzieci, niezbitym pozostała dowodem, że właśnie kobieta rozumna, nawet uczona, której tak śmiesznie lęka się pewna sfera mężczyzn, zdoła najlepiej, bo rozumnie spełniać obowiązki żony, matki i obywatelki kraju. Przy tej sposobności stanowczo śmiemy zdanie swe zaznaczyć, że tylko ograniczonych kobiet ogół zaniedbuje w tym kierunku po-

winności swoje, gdy przeciwnie wśród prawdziwie rozumnych zdarzają się w tym względzie jedynie — wyjątki, bo wiadoma, że bez nich nie istnieje żadna reguła.

Św. p. M. J. Zaleska była w szczególności przewodniczką, mistrzynią i przyjaciółką dziatwy polskiej, o czym świadczy jej serdeczna z czytelnikami „Wieczorów rodzinnych“ korespondencya, a nie zawiera ona jeszcze ani małej cząstki objawów przywiązania i uwielbienia, okazywanych jej przez dziatwę, której wreszcie była pośredniczką w przesłaniu upominków drobnych, bądź w pieczędach, bądź w robótkach, przeznaczonych dla ubogich rówieśników.

Za trumną zacnej kobiety, osypaną kwiatami, szły oprócz długiego orszaku ludu wszelkich stanów — dzieci z ochron warszawskich i uczennice pensyi p. Jadwigi Sikorskiej. Pomiedzy wspaniałemi wieńcami, złożonemi, jako hołd miłości, czci i wdzięczności, na trumnie, widzieć można było wieńce od redakcyi „Kroniki rodzinnej“, „Wieczorów rodzinnych“, „Kłosów“ i „Przeglądu pedagogicznego“, od współpracowniczek, czytelniczek i czytelników Zmarłej — wreszcie jeden z rzewnym a wymownym napisem: *Najlepszej matce.*

Cześć popiołom zacnej i zasłużonej kobiety!



## WSPOMNIENIE.

Przez S.W.

Kiedy już umrę, każ mi matko miła,  
Włożyć do trumny białe, ślubne szaty;  
Będę o cichych zaślubinach śniła,  
Ubrana w mirtu i pomarańcz kwiaty.  
Niech grób mi wdzięku marzeń nie umniejsza,  
W marzeniach serca leży dziwna siła!...  
Od samej śmierci miłość jest silniejsza!

*El-y.*

### I.

Straszna mną boleść, tęsknoś, rozpacz miota;  
A gdy w świątyniach zamknięte już wrota,  
Przed kimże żale, zwątpienia wynurzę?  
Komuż miniony sen życia powtórzę?...  
O! pójdźcież wszyscy, przyjaciele moi,  
Wszak przyjaźń szczerą rany serca koi.  
Lecz gdzież was szukać, wymarzeni cudnie?  
Już słońce moje weszło na południe,  
A ja was nie znam! — toż i znać nie będę.  
Obcym więc ludziom nie złotą wyprzędę  
Z przeszłości, rzewnym pożegnanej płaczem,  
Nie bacząc wcale, kto moim słuchaczem.

### II.

Nad kryształową sinych fal powłoką,  
Gdzie wiotkie łązy, by trzcina wysoko  
Rosną, skrywając piaseczysty wód rąbek,  
Czasem ukrywa się dziki gołąbek,  
Kąpiącej dziatwy wypłoszony wrzawą;  
Lub białe jagnię, przynęcone trawą,  
Wsuwa się zwolna między cienkie kiście,  
Srebrzystą wełną zaczepia o liście,

Bez szmeru wonną trawkę z piasku skubie,  
 A w polu pasterz rozpacza po zgubie!  
 Nad łoż kępami i wodą błękitną  
 Widzicie owę gazę nieuchwytną,  
 Co tak się wkoło fantastycznie wieszka,  
 Ze nawet muszek igrająca rzesza,  
 Chcąc aż w zwierciadle modrem przejrzyć lice,  
 Przechodzi przez nią, jak przez błyskawicę,  
 I nic jej kształtów uroczych nie zmienia.  
 Ach! owszem — piękniej w dal ją rozprzestrzenia.  
 Tam, gdy raz pierwszy zwróciłam swe oczy,  
 Dziwny mnie instykt tknął jakiś proroczy;  
 Widziałam jasno oczyma swej duszy  
 Ustroj swych przyszłych rozkoszy, katuszy,  
 A serce, jakby młotem, biło w łonie;  
 Nieznany ogniem gorzały mi skronie,  
 I byłam pewną, że się wszystko stanie,  
 Coś przez aniołów obiecał mi, Panie!  
 Nawet z nad gazy tęczowej rubinów  
 Widziałam w niebo mknących cherubinów,  
 Co byli przy mnie w tej chwili zachwyty,  
 A teraz, lecąc po szybach z błękitu,  
 Dźwięcznie stukali — mnie zaś się zdawało,  
 Że mi tak śpiewnie serce w piersiach grało!

## III.

Arfo Eola! opisana tkliwie,  
 Czyż tony twoje dźwięczą tak pieściwie,  
 Tak harmonijnie wśród rajskich drzew cieni,  
 Jak miłość, gdy się w sercu rozpromieni?  
 Gdy z wymarzonej krainy pomału  
 Schodzi na czoło swego ideału?...  
 Wówczas powietrze zdaje nam się wonne,  
 Dusza łagodna, jak jagnię bezbronne,  
 Jak małe ptaszę, albo kwiatek cichy,  
 Patrzy w świat słodko bez złości i pychy.  
 I lęk nas zbiera, by wiatr południowy,  
 Chociaż leciuchny, nie złamał jej w sile;  
 Trwoży nas nawet blask słońca tęczowy,  
 Trwożą skrzydlate, błyszczące motyle,  
 Z kwiatów kielicha pijące słodczyce;  
 Trwożą nas wszelkie szeptaj tajemnicze!  
 Serce jest wówczas, jak okręt na morzu:  
 Żrenica jasna buja po przestworzu,  
 Poi się krasą różnobarwnej fali,  
 Lecz kiedy spojrzy na horyzont w dali,  
 Burza straszliwa różowe wrazenia  
 Płaszczem kirowym wokoło ocienia!...  
 Tych wszystkich wrażeń doznałem do sytu:  
 Pływałem w szczęściu, jak ptak wśród błękitu,  
 Poznawszy kogoś z cudownym wyrazem,  
 Co mi aniołem i wrogiem był razem.

## IV.

Ubóstwo było w chacie mojej matki:  
 Ja, jedynaczka, za wszystkie dostatki,  
 Za lśniących zbytków marzone pieściła  
 Stanać jej miałam. — Świat ułudne sidła  
 Na mnie zastawiał w różnych komplementach,  
 Mówiąc o krasie, o moich talentach;  
 Lecz próżno nęcił!... śmiało i zuchwałe  
 Przeszłam, jak Cezar, Rubikonu fale!  
 W tę jedną wiarę ubierając życie:  
 Że doskonałość tylko tam — w błękitcie!  
 Matka, jak owe mytyczne księżniczki,  
 Miękki len przedła wartkim kołowrotkiem,  
 Przed Panny Maryi obrazem dwie świeczki  
 Gorzały jasno z zakrzywionym knotkiem;  
 W oknie woniały z rezedą doniczki,  
 Obok stał dzbanek i codziennie biała  
 Ręka mej matki kwiaty podlewała,

Przyczem kolejno liść każdy pieściła;  
 Bo tak namiętnie kwiateczki lubiła  
 Owa zamierzehłych już czasów kniehini,  
 Że dom nasz biedny równał się świątyni.

## V.

Wśród woni kwiatów, w atmosferze czystej  
 Wzrosłam szczęśliwie, jak kwiatek strzelisty.  
 Nieraz mówiłam do kanarka gniewnie:  
 „Czemu ty, ptaszku, nie śpiewasz mi rzewnie,  
 Tylko wciąż dziobkiem o klatki swej druty  
 Tłuczysz natrętnie, szczebiocąc dopóty,  
 Dopóki matka cukru ci nie włoży;  
 Czyż tego-ć trzeba, byś śpiewał hymn Boży?  
 Nie chcę cię, ptaku, nie chcę widzieć więcej.“  
 A ptaszek na to w pokorze dziecięcej  
 Za pieśń wesołą przeprosza mnie grzecznie;  
 Mateczka przy mnie śmieje się serdecznie,  
 Garnie ku sobie lubą jedynaczkę,  
 Całuje w czoło: „Ach! czyż się koniecznie  
 Chcesz wykierować, dziecino, na płaczkę,  
 Że pieśni rzewne narzucasz ptaszekowi? —  
 Mówi z miłością. — Twojemu wiekowi,  
 Snadniej wesołość przystoi, niż bole!“  
 I mnie po kwiaty wysłał na pole.

## VI.

Matka wychodzić nie zbyt mogła z domu,  
 A jedynaczki powierzyć nikomu  
 Nie chciała długo, choć ze smutkiem nieraz  
 Mówiła do mnie: „Tu siedzisz i marzysz,  
 Ruch ci potrzebny bardzo byłby teraz.“  
 Wtem się nawinął stosowny towarzysz!  
 Odtąd, jak młode jelenie na wiosnę  
 Bez pieczy w zdroje kryniczne się wiodą,  
 Tak my, w zachwyty wtopieni miłosne,  
 Szliśmy oboje. Ja byłam tak młodą!...  
 I on był młody. Jednak żadne słowo,  
 Co twarz młodzieży barwi na różowo,  
 Żadne spojrzenie śmielsze, ni westchnienie  
 Nigdy nie wkrađło się w srebrne brzęczenie  
 Dusz naszych czystych. Jak dzieci niewinne,  
 Codziennie miejsca zwiedzaliśmy imie.  
 Brakło nas tylko, gdzie ptak nie doleci,  
 Lub gdzie jaszczurka piastuje swe dzieci,  
 I kędy tęcza czystą wodę pije...  
 Ale gdzie tylko woniały lilije,  
 I gdzie się wrzosa w słońcu krwią barwiły,  
 Skał strome złomy nad jarem piętrzyły,  
 Tam my byliśmy, ciekawi turyści,  
 Śmiechem strząsając perły rosy z liści.  
 W śmiechu się dyskurs zawsze wiedzie snadnie,  
 Dysonans zaden nigdy się nie wkradnie.  
 Szkoda, że cichy wówczas wietrzyk dmuchał  
 I nikt rozmowy naszej, nikt nie słuchał!...  
 A miałby pewnie nabytek zbyt cenny;  
 Całego świata mogły ją duenny  
 Słuchać; choć myśmy — zakochani — sami  
 Byli, lecz Stwórca dobry był nad nami.

## VII.

W turniach tatrzańskich śnieg do śniegu czeka;  
 I myśmy mieli takie miejsca białe,  
 Skąd kropelkami woda zwolna ścieka  
 I wpada w nurty strumienia zuchwałe.  
 Tam to nurzając z kory dzbanki swoje,  
 Pytaliśmy się: „Sąż nektaru zdroje  
 Słodsze?“ I piliśmy każdego czasu  
 Wodę z wszystkimi mieszkańcami lasu.  
 Dziwnie! raz pierwszy gdy sarna spostrzegła  
 Obcych przybyszów, szybko w las pobiegnęła.

Lecz potem, widząc, że nikt jej nie goni,  
Wróciła z wolna do zdrojowej toni.  
Odtąd zawarliśmy z sobą przymierze:  
Gdy tylko które z nas w dłoń korę bierze,  
By czerpać wodę, zaraz w leśnej ciszy  
Sarna pluśnięcie w łożysku już słyszy  
I zbiega lotnie po szpilkach jedliny,  
Jakbyśmy do niej przyszli w odwiedziny.  
Wszyscy więc troje szczęśliwi niezmiernie  
Pijemy wodę, by w rajskiej cysternie.

## VIII.

Często myślałam cały wieczor długi  
O owej sarnie z nad zacisznej strugi:  
Jak nam się dziwnie skrzyżowały losy!  
Wszak często w świecie słyszeć można głosy,  
Sławiące szczęście zwierząt i ich życie.  
Dwoje gołąbków — dwie sarny — widzicie.....  
A tu na przekór szarą sarnę moję  
Poznałam samę, gdy nas było dwoje!  
Jak to tłumaczyć? choć nie ręczę wcale,  
Czy jej towarzysz gdzieś w jodeł powale  
Nie został, dzieciom by wskazać korzonki;  
A może, znużony widokiem małżonki,  
W pole ją wysłał wśród letniej spiekoty,  
A sam czempredziej puścił się w zaloty  
Do innej łani, lub rusatek leśnych?...  
A może w ranach biedaczek bolesnych  
Zaległ i żonę po lecznicze zioła  
Wysłał.... Lecz czyżby była tak wesola?

(Ciąg dalszy nastąpi).

# Nad morzem.

## Powieść z życia Duńczyków.

Przez

K. F. Schroetera.

Z niemieckiego języka tłumaczyła Helena Neyman.

Nie czekajcie uznania i cześci.  
Nieproszeni prawd nowych posłowie,  
Na lzy wasze i wasze boleści  
Śmiech szyderstwa z ust ludzi odpowie.  
Kto wam trudy mozolne nagrodzi,  
Gdy lzy krwawe daremnie pocieką?  
Kto was laurem uwieńczy, o! młodzi,  
Chyba przyszłość — a przyszłość daleko!

Antoni Pilecki.

— Więc przyjdiesz, pani, na pewno?

— Najpewniej, jeżeli tylko wschodzące słońce dość  
rychło ze snu obudzić mię zdoła. Potrzeba będzie panu  
ze mną pewnej dozy cierpliwości, panie Johanssen, jeżeli  
przypadkiem kilka minut po pół do szóstej stawić się nie  
zdołam.

Lekki uśmiech zadrgał w głosie dziewczęcia, gdy  
ujrzała pełne pytającego wyrazu spojrzenie swego to-  
warzysza.

— Wiesz pan, iż nigdy nie zdarzyło mi się widzieć  
ulicy naszego miasteczka o tak rychłej porze. Poezja  
teżże godziny nie odpowiedziała mym oczekiwaniom. Kilka  
mleczarek, dostarczających miasteczku mleka, i gdzienie-  
gdzie zaspane świeżo zbudzonych piekarzy twarze —  
czyliż to całe piękno, które wytworzyłam w swej wy-  
obraźni?

Młodzieniec cichym westchnieniem odpowiedział na  
te słowa.

— Ależ, panno Auroro, zawołał po chwili — to bu-  
dzące się na każdym kroku życie pięknej natury, ta cisza,  
zapełniająca powietrze...

— Na miłość Boską milcz już pan — zawołało  
dziewczę, lecz nagle, jakby litością zdjęta, odezwała się  
cicho: — Jutro mi o tem opowiadać będziesz.

Zanim towarzyszący jej młody człowiek zdołał dać  
odpowiedź, ujęła szybko dłoń jego na pożegnanie i znikła,  
wołając: Do jutra rana.

Fryderyk Johanssen zwrócił się rozmarzony w stronę  
swego mieszkania, lecz tuż na wstępie powitał go stro-  
skaną twarzą korektor, przypominając, iż braknie 40  
wierszy druku do „Gazety wieczornej.“

Młody redaktor zbliżył się bezwiednie prawie do  
stołu, zarzuconego mnóstwem rękopisów i zaczął po-  
między nimi szukać czegośkolwiek.

— Czterdzieści wierszy druku, mówisz pan? — ode-  
zwał się odwrócony plecami do korektora.

— Tak jest, panie doktorze, brzmiała lakoniczna od-  
powiedź.

— Nie masz pan jakiego tematu? — zapytał po  
chwili redaktor swego towarzysza.

— I owszem — odrzekł tenże — sędzę, że naj-  
lepiej byłoby zapełnić łam wierszem jakim z okoliczności  
Świąt wielkanocnych. Nie mógłbyś pan uczynić tego,  
panie redaktorze?

Młody redaktor poruszył się gwałtownie. Poemat  
napisać, na rozkaz, na życzenie, ponieważ braknie 40  
wierszy druku... Nagle zapytał: Ile mam jeszcze czasu  
do pisania?

— Za godzinę druk musi być rozpoczętym, jeżeli ga-  
zeta dość wcześnie na pocztę ma być oddaną. Za pół  
godziny stawię się raz jeszcze.

— Nie potrzeba — odrzekł redaktor i zbliżył się do  
okna, lecz po chwili, jakby pod ciężarem zawadzającej  
mu postaci, odwrócił się i rzekł: Odnosę sam. Ko-  
rektor, nie czekając dłużej, oddalił się.

— Poemat pisać — mówił cicho do siebie młodzie-  
niec ze smutkiem — poemat pisać!... Zdrowy rozsądek  
i obowiązek przyjęty nakazywał mu korzystać z rady ko-  
rektora, z drugiej strony budził się w nim prawdziwy  
poeta i oponował.

W sieni słychać było kroki zecerów, oddających pod  
prasę gotowe artykuły, przez otwarte okno dobiegał z od-  
dali wesoły śmiech szczęśliwych ludzi, zresztą uroczysta pa-  
nowała na ulicach cisza, jakby hold milczącej dla wielkiego  
świętecznego dnia. I on miał pisać poemat dla tych, którym  
dziś lepiej smakował placek święteczny, niż oderwana  
cząstka jego duszy, niż wiersze, któremi on ich ma  
obdarzyć.

— Och! to niemożliwe. A jednak pisać! Obowiązek  
nakazywał mu pisać dla 2000 abonentów „Wieczornej ga-  
zety,“ nakazywał nie schodzić z raz obranej drogi, bo  
wszakże on swemu narodowi podjął się być poetą, chciał  
go prowadzić, kierować nim i nieznanne wskazywać mu  
szlaki. Nazwano go „poetą z Bożej woli“ — lecz to nie  
przeszkadzało, aby staczał rozpaczłą walkę o byt; kry-  
tyka go chwaliła i polecała, lecz ogół nie karmił się tem,  
co było natchnieniem jasnej duszy jego, co było oderwaną  
cząstką własnego jestestwa. Nie była to ta strawa solna  
i pieprzna, przetrawiająca się łatwo, choć niesmak po

sobie zostawia, było to słowo miłości i wiary, wznoszenie się do nieznanych drugim ideałów, była to tęsknota za tem, co wielkie, święte, gorące. Jego poezye zalegały pulki księgarskie, niekupowane, nieczytane; może kiedyś potomność zdoła to ocenić i w jeden zbiór złączy one smętne „Gór kwiaty,“ lecz może nigdy pojąc nie zdoła, ile tam walki daremnej, doznanych zawodów, nadziei rozrywanych kierowało myślą i piórem autora.

Fryderyk Johannsen... ktoż zna poetę *Olsena*? Pochwała krytyki nie była jeszcze sławą, jej uznanie nie było czcią. Pomiędzy nim a publicznością była przepaść, niedająca się na razie wypełnić!

On nie umiał być *Zoilem*.

Wydawca, człowiek młody, inteligentny i pełen wiary, pocieszał go stereotypowem zapewnieniem: iż wszystko, co dobre i szlachetne, wśród drogi swojej spotyka zawody i przeciwności, że prawda słoneczna w końcu zawsze zwyciężyć musi — a wszelka krytyka stawa po jego stronie — czyż więcej żądać można?

Niech on tylko napisze nowe jakieś dzieło energicznie i prędko, niech je rozrzuci między publicznością, a zmusi ją niepokonaną siłą prawdy czytać je i uznać. I wydał Johannsen drugi tom poezyi swoich. — I znów nazwała go krytyka „Bożym pieśniarzem,“ znów poleciła go i wróżyła mu sławną przyszłość i znów publiczność, ogół, nie czytał go. Och! czyż to nie ma obezsił? Zebrał sił swoich ostatek i resztę wiary w posłannictwo swoje i wydał zbiór nowel świeżo napisanych.

Lecz tutaj nowa spotkała go trudność.

Wydawca grzecznie usprawiedliwiał się nawałem pracy, odkładał decyzją na później, wreszcie, przyciśniony niejako do muru, począł się usprawiedliwiać i przepraszać, chwając równocześnie talent poety.

Koniec końców — ryzyko było za wielkie. On nie mógł się „pomimo życzliwości“ podjąć wydawnictwa prac nowych, gdy z poprzednich zaledwie 300 exemplarzy zdołał puścić w obieg — nie opłacił się nawet druk i papier. Radził mu zamieszczać prace w czasopismach, których tak wiele pomiędzy publicznością się rozchodzi, a później może jeszcze drukować zbiorowe wydanie tychże samych prac.

Usłuchał biedny szczerą radę wydawcy i posłał utwory swoje czasopismom.

Jedne przyjęły je obojętnie, drugie pocieszyły autora nadzieją lepszej przyszłości, inne jeszcze wymówiły się nawałem nagromadzonego w redaktorskiej tece tegoż rodzaju materiału.

Honorarium, pobierane za drobne artykuły, wysyłane do rozmaitych dzienników przy największej oszczędności nie wystarczały na skromne utrzymanie autora; a niestety! manna niebieska dziś już nie spada z nieba, by karmić rzesze zgłodniałych.

Obejrzał się wkoło siebie, by szukać pracy, któraby mu dała kawałek powszedniego chleba.

W tymże samym czasie umarł wydawca „Gazety wieczornej,“ który toż pismo sam redagował. Następca jego nie miał zamiaru podwójnej pracy na swoje bracie ramiona, tem mniej, iż pismo to było w możności zapłacić redaktorowi honorarium w ilości 1,500 marek. Potrzeba było młodych sił, które, ująwszy w silne dłonie ster pisma, zdołałyby je podnieść i przyszłość mu zapewnić. Fryderyk Johannsen był pierwszym ze zgłaszających się i przyjęto go po krótkich targach obustronnych, a w niespełna cztery tygodnie potem stał już na czele znanego powszechnie pisma.

Lecz nie obliczył biedny sił swoich, zapomniał, że poeta nie może być zarazem redaktorem, że on tworzyć tylko zdoła w natchnienia chwili, a nigdy pod obowiązkiem przymusu. Zapęlić wszystkie łamy pisma aż poza anons, zajmować się zmianą ministerstwa i wypadkiem ulicznym, myśleć swą kępować w ciasnym pojęć kole — och! ktoż tę męczarnię pojęć zdoła!

A wówczas, kiedy potrzeba najwięcej być kępownym, żądza tworzenia największą odzywa się siłą.

Tworzyć!... tworzyć samodzielnie!... tworzyć, co serce czuje i czego pragnie dusza, to było hasło ciche, lecz potężne, które mu młodzieńczą pierś rozpiętało.

Wyszukał sobie kącik maleńki, coś nakształt pogadanki, lub pokłosa w „Gazecie“ swojej i tam zamykał swą duszę i dawne swoje pragnienia.

Lecz zbolaly nie umiał już rozrzucić snopów jasnych i czystych promieni, nie stało mu sił do walczenia w imię miłości i przebaczenia, i począł walkę szyderstwem i wzgardą. Zamknięty w sobie drwił z tego, co go otaczało, co inni stawiali na piedestale, lub co im za bóstwa służyło domowe. Ci, co go czytali, śmiali się również, nie podejrzewając, iż własne ich postaci śmiechem usta im krzywią, nie domyślając się, iż ta wyszydzone gawiedz — to byli oni sami!

Lecz nie śmiali się przez łyzy, ani przez krew własną, coż więc dziwnego, że nie poznali siebie.

O! jakże nowe prądy, nurtujące literaturę, wstrętne były Fryderykowi. Jak wstrętą była dlań powieść, przepelniona mordem, lub skandalem, powieść, której autowie zdawali się nie posiadać czci, ani wiary. I smutno wówczas zapytywał siebie, czyż oni tak są złymi, czy publiczność tego złego pragnie? Chciał ich potępić, a nie mógł.

Oni, przodownicy narodu, stojący na czele, kierownicy ducha narodu, czyż innej nie zdołają podać mu strawy? Jakiż oni, ci pracy apostołowie, plon przed tron zaniosą Boga, i jakąż będzie zgorszenia zapłata? A jednak czyż miał prawo przeklinać? czyż i on nie ugiał karku w ciasne musu jarzmo, czyż i on nie pracował tłumom na obstalunek? O! jakże chętnie zerwałby okowy, zdruzgotał kajdany, kępujące mu dłonie, i rzucił się tam, gdzie jasność, gdzie światło, skąd splywa błogosławieństwo narodom.

Lecz przed oczyma jego stawała Darwinowska walka o byt, a czarne widmo nędzy zdawało się naigrawać z poety, wołając, że zdoła odstraszyć wszystkie porywy i podniety ducha i nie zostawi mu nawet sił tyle, aby mógł być użytecznym narzędziem w silniejszej dłoni.

Wkoło Johannsenna wszystko wirowało. Dłońmi ścisnął palące czoło, po którym zimny pot kroplami spadał.

I czyż mu nie już nie pozostało, nic z tych pragnień gorących, a promiennych nadziei?...

Myśl jego spoczęła wówczas na świeżej dziewczęcej postaci, na Aurorze Porthon. I było mu jaśniej i lżej!

Ona pierwsza nieznanie mu dawniej pragnienia zbudziła w płomiennej duszy jego. Stary Porthon, powszechnie szanowny właściciel w Ringsborgu, od wielu lat był wdowcem, a całą pociechę była mu córka-jedynaczka.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

## KORRESPONDENCA „DOMU POLSKIEGO“

### Zpoza kordonu.

Obecny maj pragnie naprawić złą opinią, jaką jego poprzednicy zostawili o sobie. W pierwszej połowie rozkwitł już całą swą krasą i roztoczył wszystkie powaby. Mamy i zieloność uroczą, niepokalaną, mamy śpiew słowików, a oko rolnika cieszy bogata ruń zbóż, lecz z piersi wydobywają się już westchnienia za deszczem,

który, wypadawszy się w kwietniu, teraz skąpi swych darów.

Urządowiec kraj obchodził uroczystość poświęcenia pomnika cara Aleksandra II. Napis opiewa, że pomnik powstał z dobrowolnych składek włościan wdzięcznych swemu „oswobodzicielowi.“ W rzeczywistości cała ta robota jest bańką mydlaną, jak wszystkie tego rodzaju roboty Moskali. Naczelnicy z rozkazu generał-gubernatora Hurki nałożyli podatek z morgi; lud płacił — sam nie wiedząc, na jaki cel — płacił, bo nakazano, z westchnieniem ciężkiem.

Dziś jeszcze większość wcale nie wie o istnieniu pomnika, a niektórzy dowiadują się z gazet o swojej wdzięczności i o swych dobrowolnych ofiarach.

Czy rząd nie zna fałszywej i śmiesznej swej roli, czy też, udając powagę, sam parska śmiechem na uboczu?

Sprowadzono biskupa Bereśniewicza z Włocławka, kazano mu poświęcać pomnik i przemawiać do ludu. — O! komedyo ludzka! Nikt tam nie był szczerym, wszyscy chcieli wzajemnie oszukiwać się, a nikt zapewne oszukanym nie został.

I wartoż było poświęcić 72 tysiące rubli na taką lichą zabawkę?

Ha! może zwiedzionym został car Aleksander III; może rozplywa się nad wdzięcznością ludu „oswobodzonego.“ A wdzięczność ta jest bardzo problematyczną — i lepiejby zapewne było wcale na nią nie liczyć!

Wzrastająca bieda między robotnikami, podrożenie wszystkich artykułów potrzebnych do życia, rozdrabnianie własności w miarę wzrostu ludności, wszystko ośudza niezmiernie ową wdzięczność, a w drugim pokoleniu wygaśnie ona już całkiem niezawodnie.

Lud nie bardzo jasno zdaje sobie sprawę z różnych przyczyn, wpływających na stan obecny; pamięta tylko, że dawniej jakoś łatwiej wszystko przychodziło, i weselej było na świecie — przy taniej wódecie i przy taniości wszelkich produktów. A lasy, owe lasy ukochane!... jakże z nimi było dobrze na świecie.

Przeszłość utonęła bezpowrotnie, zabierając z sobą i złe i dobre, lecz w pamięci ludzkiej złe się zagląda, a żal za dobrem utraconem wzrasta z biegiem czasu. Owo przyglądanie się przez prasę rosyjską naszemu społeczeństwu i upatrywanie w niem stron lepszych nie ustaje. Nawet „Warszawski Dniownik“, niegdyś tak zaperzony na nas, odzywa się czasem z pochwałą. Niedawno rozpiął się o wzrastającej oświacie ludu wiejskiego: „Dwa pisemka ludowe — wyraził się — liczą dziesięć tysięcy przedpłacicieli, a jednak włościanin rzadko kiedy za własne pieniądze trzyma gazetę, któż więc składa liczbę przedpłacicieli? Łatwo odgadnąć, że inteligencja tym sposobem szerzy światło wśród dalszych ciemności.“

Nawet „Nowoje Wremia“ wyłącza Polaków z rzędu cudzoziemców, przeciw którym Rosjanie powinni się bronić, nie dopuszczając ich do wyższych stanowisk! Cudzoziemcami tymi są Niemcy i Żydzi.

Warszawa bawiła się poważnie odczytami na korzyść „Towarzystwa osad rolnych“; Ochorowicz mówił o hypnotyzmie, Sienkiewicz o powieści historycznej. Na zachodzie krytyka powstała z zapałem godniejszym lepszej sprawy przeciw temu rodzajowi literatury, twierdząc, że powieść historyczna fałszuje historią, że charakterystyka ludzi dawno zmarłych nie może być prawdziwą. Autor „Potopu“ zbijał powyższe argumenta, a stylem swym barwnym przekonał naturalnie słuchaczy.

Utrzymywał on, że po przeczytaniu „Pamiętników“ Paska łatwiej jest poznać charakter tego szlachcica mate żołnierza, niż określić np. charakter dzisiejszego Rotszilda, lub Bleichródera, ludzi współczesnych, ale których kryterium duszy jest dla nas nieprzystępne. Wielka słuszność. Dalej twierdził, że krytyka nie powinna stawiać rogatek twórczości, ale tylko ją oceniać i rozumieć, że każdy ro-

dzaj musi mieć racją bytu, kiedy wypłynął z ducha ludzkiego i znajduje echo w duszach czytelników. I to racja. Zarzut fałszowania historii pominięty został — a jednak i tego grzechu mogą autorzy uniknąć, starając się pogodzić fantazyjne twory z tłem rzeczywistości przeszłości. Ale prelegent sam wiele pod tym względem nagrzeszył, więc wolał milczeniem pokryć najważniejszy punkt.

Dr. Antoni Donimirski mówił. — „O Kaszubach“ rzeczy ciekawe, ale nie dla Warszawiaków, bo ich nie zęciły do sali w większej liczbie. Odczyt „O obecnem położeniu robotników fabrycznych w Królestwie Polskiem“ p. Plebińskiego zupełnie się nie powiodł. Zagadnienie choć tak ważne w przyszłości dziś jeszcze nie obudza zajęcia. Nie ma u nas strejków, ani zaburzeń ulicznych, nie widzieliśmy jeszcze tłumów, niszczących sklepy i składy — więc kwestya socyalna tyle nas obchodzi, co zeszłoroczna zima. A jednak wartoby było zawczasu zastanawiać się nad stanem rzeczy, i po trochu zapobiegać przyszłym kłęskom. Przemysł nasz wzrasta wciąż, a zatem i liczba robotników rośnie, a niejedno złe kiełkuje już dziś może.

Dziwnem można nazwać wrażenie, jakie wywołał p. Drzewiecki prelekcją „O homeopatyi.“

Prawdopodobnie znalazł zwolenników także, ale większość była zdumiona zuchwalstwem, z jakim prelegent zrzucił i deptał wszystkie nabytki wiedzy na polu medycyny. Powiedział, że bakterye chorobowe istnieją tylko w mózgu uczonych, że przyczyna wszystkich chorób tkwi w nerwach, na które jak najmniejsze dawki lekarstw oddziałują. Na czele mowy swej postawił alternatywę: „albo homeopatya jest Boską prawdą, albo wielkim błędem.“ — *Albo — albo!* O to właśnie chodzi, które z tych *albo* wybrać? — p. Drzewiecki ku pierwszemu się skłania naturalnie.

Tegoroczny karnawał letni nie zapowiada się hucznie. Ciepło wywabia już na letnie mieszkania, o żadnych wystawach nie słychać. Miasto stroi się po swojemu, roboty około kanalizacyi postępują wciąż żwawo.

Teatr stara się wabić publiczność rozmaitością repertoaru, nigdy nie było łatwiej dostać się na scenę, jak teraz. — Potrzeba tylko odwagi do narażenia się na chłosty krytyki. Szczęśliwie umiał jej uniknąć pan Józef Kościelski ze swoją bluetką: „Dzienniczek Justysi.“ Czy zbliżająca się wiosna usposobiła tak przychylnie Zoilów?... ale wszyscy napawali się wonią ogrodów, śpiewem słowików i czarem miłości poetycznej. Natomiast panu Kazimirzowi Zalewskiemu dostały się ostre ciosy za „Lisa w kurniku.“

Ktoś powiedział dowcipnie, że raz przecież okazał p. K. Z. oryginalność pomysłów, bo wskrzesił sztukę upadłą na prowincyi na deskach „Teatru wielkiego“ i sam sobie napisał recenzją jawną, z podpisem własnego nazwiska.

Rzeczywiście autor uznał za stosowne wypowiedzieć w którymś z „Kuryerów“ własny sąd o własnym swym utworze przed przedstawieniem sztuki.

Zarzucono komedyi brak prawdziwości typów, brak prawdziwości w stosunkach życiowych, słowem sztuka ma się składać z samych braków.

A. M.



# ĆWICZENIA PAMIĘCIOWE

w szkole ludowej

przez

IZYDORA POECHĘGO,

dyrektora szkół ludowych.

(Dokończenie.)

Mając na uwadze wszystko to, cośmy dotąd powiedzieli o pamięci, jako też o celu ćwiczeń pamięciowych, łatwo przyjdzie nam odpowiedzieć na pytanie: jakiego powinniśmy użyć sposobu metodycznego traktowania ćwiczeń pamięciowych w szkole ludowej. Quintilian, pisarz rzymski, powiada: „Jeżeli się kto chce ode mnie dowiedzieć sztuki wydoskonalenia pamięci, to sztuką tą jest ćwiczenie i praca. Najskuteczniejszym jest uczyć się na pamięć i wiele myśleć — a to, ile możliwości, codziennie. Żadna siła w tym stopniu się nie powiększa przez uprawę, ani nie niknie przez zaniedbanie — jak pamięć. Dla tego już dzieci wiele na pamięć uczyć się powinny, dla tego mają się uczyć przezwyćżać w sobie niechęć ciąglego powtarzania tego, co czytają i piszą“\*).

W słowach tych uczony Rzymianin podnosi ważność kształcenia pamięci, kreśli naturę i sposób traktowania ćwiczeń pamięciowych, którymi być mają: uczenie się na pamięć obok rozwoju rozumu i rozsądku, ustawiczne powtarzanie od najmłodszego wieku. Idąc w ślad za tą myślą poważnego męża, rozglądając się w psychologicznym rozwoju ludzkiego ducha prawach przy pomocy praktyki szkolnej, uważać będziemy za najodpowiedniejszy następujący sposób metodycznego traktowania ćwiczeń pamięciowych w ogóle:

1. Ćwiczenia pamięciowe idą przed ćwiczeniami rozumu.
2. Należy mądrze i oględnie obierać materiał, którego się dzieci na pamięć uczyć mają.
3. Powinniśmy tutaj pamiętać o najważniejszym prawie pedagogicznym: „Postępuj od łatwiejszego do trudniejszego“ i dla tego:
4. Wszelki przedmiot pamięciowych ćwiczeń ma być najsumiennie i wszechstronnie poprzednio obrobiony i rozumiany.
5. Uważać mamy bacznie, aby, czego się dzieci na pamięć uczą, nauczyły się najdokładniej.
6. Ćwiczenia pamięciowe mają być systematycznie, ciągle przedsiębrane.
7. Powtarzanie częste ma być podporą i umocnieniem pamięci.
8. Ćwiczenia pamięciowe mają być do potrzeb szkoły ludowej zastosowane.
9. Celem rzeczonych ćwiczeń mają być także pilnie przedsiębrane ćwiczenia pamięciowe w właściwym tego słowa znaczeniu.

Powiedzieliśmy, że, aby ćwiczyć pamięć racjonalnie, ćwiczenia pamięciowe mają poprzedzać ćwiczenie rozumu. I całkiem słusznie. Bo dziecko to istota więcej bierna i nauka pamięciowa jest pierwszą duchową,

samodzielną pracą dziecka, gdzie nie potrzebuje obcej pomocy. Tu mu nikt pomódz, nikt go wyręczyć nie może; musi ono tu raczej samo sobie dopomagać, samo sobie wynaleźć metodę, jaka najlepiej odpowiada jego duchowemu usposobieniu, jaka mu najwięcej ułatwia spamiętanie wrażeń. Nawet szkoda nie tak wielka stąd wynika, kiedy się niejednej takiej rzeczy w młodości uczymy, którą dopiero później zrozumieć będziemy mogli. Jest rzeczą niepodobną chcieć dziecku wszystko tak zrozumiałem uczynić, żeby nic takiego się nie uczyło, czego nie rozumie. Wszakże wiemy z własnego doświadczenia, że duch nasz z niejedną prawdą długo się nosił, którąśmy dopiero w późniejszych latach zrozumieli i zrozumieć mogli. Wszystko ma swój czas, więc i rozum; dla wykształcenia zaś pamięci jest tylko jeden czas — młodość! Niechaj więc w niższych klasach szkoły ludowej kształcą nauczyciele głównie pamięć rzeczową, w wyższych głównie umysłową obok rozumu.

Materyał do ćwiczeń pamięciowych należy mądrze i oględnie obierać i zastosowywać go do wieku dzieci i stosunków, w jakich żyją. Z zakresu przedmiotów, planem naukowym objętych, a do ćwiczeń pamięciowych się nadających, ma nauczyciel tylko to przeznaczać, co jest odpowiednie wiekowi dzieci, ich zdolnościom, stanowi i potrzebom najistotniejszym, by pamięci nie forsować przedwczesnymi nabytkami, nie obarczać czczymi wiadomościami, bez których szkoła ludowa obyćby się mogła, gdyż słusznie powiedziano: *Non scholae sed vitae discimus*.

Przeciążenie tego rodzaju pamięci przeciwnem jest naturze młodzieńczego ducha, zniechęca do pracy, psuje równowagę umysłu; a pamięć zamiast rozwijać się i umacniać, tępi się i obezwładnia.

Dla dzieci małych są najstosowniejsze wierszyki, rymowane zdania moralne, małe piosnki, bajki i powiastki. Lecz przytem nie trzeba zaniedbywać ćwiczeń pamięci w zatrzymywaniu specjalnych rzeczy: niechaj dziecko uczy się gładko powtarzać szeregi wyrazów i liczb, bo mu to przy późniejszej nauce konieczne będzie potrzebne. Również ma nauczyciel uwzględnić różnicę dzieci wiejskich i miejskich i stosownie do ich miejscowości i przyszłego powołania obierać materyał, którego się na pamięć uczyć będą.

Przeplatanie stosowne ustępów na pamięć wyuczonych dla urozmaicenia i ożywienia dzieci, używanie, gdzie na to przedmiot zezwala, dialogu, odpisywanie z pamięci wyuczonych ustępów, wzywianie uczniów, by z własnej ochoty uczyli się nadobowiązkowych ustępów na pamięć, staną się silną i stosowną dźwignią dobrego, racjonalnego kształcenia pamięci. Przestrzegając praw i uwag, któreśmy w przebiegu całej niniejszej pracy umieścili, przy podejmowaniu ćwiczeń pamięciowych, niezawodnie użyjemy najstosowniejszego sposobu metodycznego ich traktowania, a tem samem osiągniemy cel, jaki im nakreśliła szkoła ludowa, pomna na słowa pani Georgeon: „Pamięć jest naszych wiadomości prawdziwą skarbnicą, przeto nie można jej zaniedbywać, ale ją należy racjonalnie i wszelkimi siłami kształcić, ciągle ćwiczyć i umacniać.“

KONIEC.



\*) Quintilianus: Inst. Or. L. XI. C. II.

## Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości.

**Bronisław Grabowski** napisał obszerną pracę p. t. „Bułgaria i Bułgarowie.“ (Warszawa 1889 r.) Słowiański ten, pobratyńczy nam lud zwracał w ostatnim czasie uwagę całej Europy na siebie, to też praca p. Grabowskiego, na czasie będąca, znajdzie zapewne chętnych i licznych czytelników. Skreśliwszy we wstępie historią ludów półwyspu Bałkańskiego, zaznaczywszy w przebiegu dziejowym kwestyą wypędzenia Turków z Europy, przechodzi Autor do szczegółowego opisu historii Bułgarii, która zajmuje całe pięć rozdziałów. Następujące cztery rozdziały dzieła obejmują geografiją Bułgarii, jej świat zwierzęcy i roślinny, wreszcie zwyczaje, obyczaje i wewnętrzną organizacją narodu. Praca oparta jest na głębokich studiach naukowych, które pozwoliły Autorowi zgłębić obrany przedmiot i wywiązać się z niego sumiennie i gruntownie.

„**Hygena wzroku**“ (Warszawa, nakładem księgarni Orgelbranda). Jest to broszurka, napisana przez Dr. **Józefa Starkmana**, streszczająca obszerne dzieło sławnego paryzkiego okulisty, Dr. **Ksawera Gałęzowskiego**. Autor wykazuje tu, o ile wzrok dobry zależy od pielęgnowania oczu w latach dziecięcych i młodych i podaje skuteczne ku temu rady; mówi nadto o szkodliwych wpływach na wzrok w dojrzałym wieku. Jasno i popularnie wyrażona hygena wzroku w pracy Dr. Starkmana czyni bardzo cennym nabytkiem jego broszurkę, która też winna znajdować się w ręku wszystkich osób, mających nie tylko czy pracą, czy wiekiem, czy z natury wzrok osłabiony, nadwątłony, ale zarówno posiadających zdrowe oczy, aby w pierwszym razie według zbawiennych rad i wskazówek gorszemu złemu zapobiedz, w drugim od mimowolnych, lub lekkomyślnych niebezpieczeństw ten najważniejszy organ uchronić.

„**Nasi praojcowie**“ p. **Malinowskiego**, książeczka opisująca przedchrześcijańskie dzieje Polski, w szczególności charakter przodków naszych, ich religiją, rząd, zwyczaje i obrzędy. W dalszym ciągu opowiada Autor jasnym, barwnym i pełnym życia stylem podania o Krakusie, Leszkach, Popielach, o Piaście, w końcu o Mieczysławie i zaprowadzeniu przez niego w kraju naszym wiary chrześcijańskiej.

„**Zbiór praw Królestwa Polskiego**“ przez **Stefana Godlewskiego** wyszedł świeżo tom 37.

„**Termopile**“, większych rozmiarów poemat, wykończył **Ortot**, poeta, znany z wielu udatnych, drobnych wierszy, zamieszczanych w warszawskich pismach.

„**Almanzor**“, tragedia przez **K. Glińskiego**, drukowana z r. w „Ateneum“, wyszła w osobnym wydaniu.

**Cały Paryż** w zachwyt wprawia swemi koncertami rodak nasz, artysta-muzyk, **Paderewski**, którego krytyka zalicza już do pierwszorzędnych dzisiejszych fortepianistów. Występy jego w przepelnionej sali **Erarda** były jednym szeregiem frenetycznych oklasków i hołdów. Koncertant wypełniał sam cały program; z pełnią poezyi i wdzięku niezrównanego odegrał „Hallucynacyą“ **Schumana** pokazał się znakomitym wykonawcą, a utworami własnymi, mianowicie „Waryacyami“, dowiódł takiej samej biegłości kompozytora i mistrza.

**Ojciec św.**, Leon XIII, ma przesłać w tym roku złotą różę arcyksiężniczce **Stefanii**, wdowie po następcy tronu austriackiego, **Rudolfie**.

Znany powszechnie św. p. **W. Rzewuski**, fotograf krakowski, zmarły w r. z., przeznaczył 500 zlr. na napisanie książki popularnej i praktycznej dla fotografów; 1000 zlr., jako kapitał, którego procent ma opłacać upiększenie ulicy **Ditlowskiej**; 300 zlr. na monografią z dziedziny fotografii.

## Promyki.

(Zebrała Julia D.)

Dziwne jest serce człowieka!... co może znieść, tego jeszcze nikt nie odmierzył: jak również nikt nie odgadł jeszcze, kiedy i jak prędko może pęknąć i ustać.

K. Turcki.

Uczucie stawiam wyżej rozumu — a natchnienie u mnie to rozumu szczyt.

Kornel Ujejski.

Miłość — kapitał to jedynie szczery, ainea Sława — to tylko giełdowe papiery!

Bohdan Zaleski.

Tylko charaktery wyższe i szlachetne wdzięczność czuć umieją i czują ją tak serdecznie i podniosłe, jak w odmiennym położeniu rzeczy serdecznie i podniosłe świadczyliby sami dobrodziejstwa

Maryallicka.

Są chwile w życiu, w których człowiek radby już jak najprędzej spotkać się z swoim nieszczęściem, aby się dłużej niepewnością nie dręczyć.

Jan Zacharyasiewicz.

## HUMORYSTYCZNE.

— **Filomeno**, rzekł pułkownik **Claperthil**, zdaje się, że ty mnie zdradasz!

— **Drogi mężu**, odrzekła **Filomena**, ty, który nie lękaleś się ryku armat i noży dzikich **Indyan**, miałbyś się przerażać taką bagatelą?...

**Waptece na prowincyi**. **Pryncypał**: — Ile dałeś temu chłopcu olejku za 15 fen.? —

**Uczeń**: — Pół flaszeczki.

**Pryncypał**: — Ośle jeden! wedle taksy dość mu było dać korek do oblizania i jeszcze policzyć za flaszeczkę. Ty i mnie zgubisz i sam nigdy do niczego nie dojdiesz.

TREŚĆ: Św. p. **Marya Julia Zaleska**. -- Wspomnienie. Poemat przez **S. W.** (C. d. n.) — Nad morzem. Powieść z życia **Duńczyków**. Przez **K. F. Schroetera**. Z niemieckiego języka tłumaczyła **Helena Neyman**. — Korespondencya „**Domu polskiego**.“ Zpoza kordonu. **A. M.** — Ćwiczenia pamięciowe w szkole ludowej przez **Izydora Poèche'go**, dyrektora szkół ludowych. (Dokończenie). — Wiadomości literackie, artystyczne i rozmaitości. — **Promyki**, zebrała **Julia D.** — **Humorystyczne**.